Nr. 5. **Tarnobrzeg, dnia 1 Lutego 1902.** **Rocznik II.**

Adres Redakcyi i Administracyi: Głos ziemi sandomierskiej Tarnobrzeg.

Redakcya rękopisów nie zwraca, korespondencyj bezimiennych nie uwzględnia, listów nieopłaconych nie przyjmuje.

Listy reklamacyjne nieopieczętowane nie podlegają opłacie pocztowej.

Załączniki przyjmuje się za cenę 2 koron za 100 egzemplarzy dla zamiejscowych a 1 kor. za 100 egzemplarzy dla miejscowych prenumeratorów.



Prenumerata wynosi:

W całej Austryi:
Rocznie . . kor. 5.—
Półrocznie „ 2.50
Kwartalnie „ 1.25

W Niemczech:
Rocznie . . Mrk. 6.—
Półrocznie „ 3.—
Kwartalnie „ 1.50

W innych krajach:
Rocznie . . Frk. 7.—
Półrocznie „ 3.50
Kwartalnie „ 1.75

Ogłoszenia przyjmuje Administracya za opłatą od miejsca wiersza drukiem petitowym po 20 hal. za pierwszy raz, po 12 hal. za następne razy.

Nadesłane od miejsca wiersza petitowego po 40 h. za każdy raz

Opuszcza prasę w każdą sobotę o godzinie 8-mej rano.

Stanisław Jachowicz.

Lecz zaklinam, niech żywi nie tracą nadziei,
I przed narodem niosą oświaty kaganiec.
J. Słowacki.

Na cmentarzu Powązkowskim w Warszawie, spotykamy skromny pomnik z popiersiem w płaskorzeźbie i napisem:

„Czystem sercem, co go wiodło,
„Wśród burz świata i zamieci,
„Chrystusowe przyjął godło,
„Ojca wszystkich biednych dzieci.

Pomnik to Stanisława Jachowicza, niezapomnianego nauczyciela i przyjaciela polskich dzieci, którego bajki i powiastki wierszem dla dzieci są tak piękne, proste i serdeczne, że niepodobna coś doskonalszego dla młodzieży napisać. Znamy te bajeczki pod tytułem: „Chory kotek“, „Tadeuszek“ i tyle, tyle innych, które my wszyscy, nim nauczyliśmy się czytać, na pamięć umieliśmy. Lubią dzieci te bajki, więc powinne kochać i szanować pamięć ich twórcy, który całe życie dla nich poświęcił, który nie tylko pismami, lecz także i miłością dla sierot się odznaczył i ucząc je bezpłatnie, zebrał 80.000 złp. na wybudowanie dla nich domu w Warszawie, na Nowym świecie, który do dziś dnia jego imię nosi.

Czcimy pamięć Stanisława Jachowicza w naszej gazetce, nietylko, że przed dawnemi laty, gdzie oświata u nas stała na bardzo niskim stopniu, pielęgnował i krzewił ją w najniższych warstwach narodu, — lecz i dlatego, że był dzieckiem sandomierskiej ziemi, urodził się bowiem dnia 17 kwietnia 1796 r. w Dzikowie, w dzisiejszym powiecie tarnobrzeskim.

Bardzo wcześnie utracił ojca, i wychowanie zawdzięczał głównie matce, kobiecie nadzwyczajnie rozumnej i zacnej, która przedewszystkiem wykształciła jego serce.

Szkoły kończył w Stanisławowie, uniwersytet zaś we Lwowie.

W r. 1818 Jachowicz przybył do Warszawy, aby ją już do końca życia nie opuścić i wszystkie swe siły i zdolności dla jej dobra poświęcić.

Początkowo pełnił urząd w biurze prokuratoryi, ale wkrótce zajął się wyłącznie udzielaniem lekcyi języka polskiego, oraz pisaniem dla użytku swych małych przyjaciół.

Na początku wieku 19 zabrakło zupełnie dobrych nauczycieli i utalentowanych pisarzy dla dzieci. Wtedy to pojawia się Jachowicz i od razu wzbogaca biblioteki dziecinne. W roku 1820 wydaje nawet pismo codzienne pod tytułem: „Dziennik dla dzieci“.

Wobec mnóstwa bajeczek, powiastek, opisów historycznych rozmaitych autorów i autorek, Jachowicz nie poszedł w niepamięć i wątpić należy, czy jest kto taki, którzyby ani jednej bajeczki tego pisarza nie czytał, a nawet nie uczył się na pamięć. Jest tych bajek wiele, bo aż 800 i tak dobrych, że nie obejdą się bez nich żadne wypisy polskie.

Często, mając zasoby zaledwie na konieczne potrzeby życia, był on jednak bogaczem, jakich mało. Wszyscy go znali i kochali, a najsilniej uderzały serduszka tych biednych, zgnębionych, opuszczonych istot, z pożółkłemi twarzami, przyćmionemi oczami i wychudłemi ramionami. I cóż dziwnego? On był ojcem wszystkich, on szczęście każdego z nich stawiał na równi z szczęściem własnych synów.

To też, gdy w ostatnich latach, pełnego chwały życia, paraliż przykuł ulubionego pisarza dla dzieci do fotelu i łóżka i nie pozwolił zarabiać na życie, wydano pismo zbiorowe pod tytułem: „Wieniec“, do którego najznakomitsi nasi poeci i literaci pisali artykuły darmo, przeznaczając dochód dla chorego.

Śmierć Jachowicza w r. 1857 smutnem echem odbiła się we wszystkich sercach polskich, a dziś, gdy go wspominamy i czcimy pamięć dziecka ziemi sandomierskiej, jedno tylko życzenie wyrazić możemy: Oby takich ludzi jak najwięcej w Polsce było, aby tak ukochane przez niego dzieci czerpały z jego bajeczek i powiastek poczciwe myśli i uczucia i starały się naśladować go i postępować tą drogą, którą on im wskazał!

J. z S.

Obchód pamiątkowy powstania styczniowego w Radomyślu nad Sanem.

Wyczytawszy w »Głosie ziemi Sandomierskiej« o obchodzie pamiątkowym w Radomyślu nad Sanem, byłem ciekawy jak obchód w tak małej mieścinie wyglądać może.

Jakkolwiek oddalenie między Lwowem a Radomyślem jest dosyć wielkie, bo nie mniej nie więcej, tylko całe 35 mil jazdy koleją i 8 kilometrów wozem, postanowiłem przecież w tym obchodzie uczestniczyć. Dnia 26 wieczornym pociągiem wyjechałem ze Lwowa do Dębicy, gdzie się przesiąść musiałem. W Dębicy zastałem wielu akademików i kilka słuchaczek uniwersytetu z Krakowa, Warszawy i Litwy, jakoteż posła Bojkę, czekających na pociąg ku Rozwadowowi. O czwartej nad ranem ulokowało się całe towarzystwo nasze w jednym wagonie i pociąg wiózł nas do naszego celu.

Prawie na każdej stacyi ktoś się do nas przysiadł, tak, że gdy przybyliśmy do Zbydniowa mogłem skonstatować, że przybyło nas tym pociągiem około 100 uczestników, między którymi było bardzo wielu włościan z powiatu tarnobrzeskiego i mieleckiego, jakoteż z pod zaboru rosyjskiego.

Na stacyi w Zbydniowiu oczekiwali nas naczelnik straży pożarnej z Skowierzyna pan M. Kanarek i redaktor Wiącek z Tarnobrzega, jakoteż kilku naczelników gmin z okolicy. Przywitano nas i ulokowano na kilkunastu wozach i wózkach przysłanych przez właściciela dóbr z Skowierzyna p. Rachmiela Kanarka, który nas do siebie zaprosił. W Skowierzynie przyjął nas p. Kanarek z rodziną bardzo serdecznie i poczęstował sutem śniadaniem, poczem wsiedliśmy na wozy i pojechaliśmy do Sanu, gdzie przedstawił się naszym oczom bardzo piękny widok. Na jednym brzegu stała uszykowana cała straż pożarna z Skowierzyna pod komendą zastępcy naczelnika p. Mączki, oraz około 500 włościan i kobiet wiejskich z okolicy, czekających na prom. który w tej chwili był przy przeciwnym brzegu Sanu przewożąc od samego rana uczestników obchodu.

Na przeciwnym brzegu widniały czerwone czapki, ustawionych tam w szeregu ułanów polskich, sterczały ich kopie oraz kosy kosynierów, oczekujących nas pod wzgórzem, gdzie pochowani leżą uczestnicy powstania z r. 1863.

Słońce pięknie przyświecało, głos muzyki mieszał się z głosem śpiewającego ludu i ulatywał wraz z falami Sanu i Wisłą aż do morza Bałtyckiego. Muzyka grała na przemian »Jeszcze Polska nie zginęła« i marsz »Bartosza Głowackiego«. Po kwadransie przeprawiliśmy się na promie i na krypach przez San na drugi brzeg, oczekiwani przez członków komitetu z akademikiem p. Krajewskim na czele, który nas kilkoma serdecznemi słowami powitał. Po defiladzie ułanów, kosynierów, strzelców etc. udaliśmy się wszyscy pieszo do kościoła w Radomyślu na nabożeństwo.

Na czele pochodu szły trzy kobiety w żałobie, niosąc orła polskiego i wieniec, który miał być złożony na grobie uczestników, za niemi postępowali ułani, kosynierzy, strzelcy, straże pożarne z muzyką i wszyscy uczestnicy. Wzruszający widok przedstawił żałobny katafalk i stary weteran z r. 1863, który z swoim karabinem na plecach i w mundurze, który nosił w powstaniu, stał jakby na straży obok katafalku.

Po nabożeństwie miał proboszcz tamtejszy ksiądz Sapecki bardzo piękne i wzruszające kazanie, podczas którego prawie wszyscy uczestnicy rzewnemi łzami płakali. Po kazaniu w tym samym porządku jak do kościoła udaliśmy się wszyszy na cmentarz, gdzie się znajduje kaplica »Zjawienie«, obok której stoi wielki krzyż pamiątkowy, wystawiony przez młodzież radomyską dla uczczenia powstańców z r. 1863.

Jeden z młodzieży tamtejszej, p. Wiktor, w pięknej mowie poświęconej pamięci poległych w powstaniu, przypomniał zgromadzonym obowiązki Polaka; po nim przemawiał redaktor Wiącek, a potem zabrał głos poseł Jakób Bojko, którego przemowie wciąż towarzyszyły huczne oklaski całego tłumu. Po kolei przemawiało kilku akademików, a w końcu podziękował p. Krajewski zgromadzonym i pochód ruszył napowrót do miasta.

Kilkunastu z nas zaprosił ksiądz Sapecki do siebie na obiad, a w ślady jego poszli mieszczanie radomyscy i prawie każdy z nich zaprosił kilku uczestników do siebie. Około 5-tej wieczorem rozpoczęła się tak zwana bitwa, która po kilku potyczkach skończyła się wzię-

---

SIANOKOS.

OBRAZEK

przez Władysława Żmudzkiego.

Ciąg dalszy.

Hanka, nic nie podejrzywając, zaczęła już dochodzić do lasu. Tymczasem wieczór się zbliżał.

Brzegiem las był rzadszy i zachodnia strona nieba między drzewami, jak olbrzymia, lśniąca tafla czerwonego złota, nakryta splątanemi frendzlami ciemnej zasłony. Ukośne promienie słońca, przenikając na wylot bliższe skrzydło lasu, wypełniały całą jego głębię różową, mieniącą się poświatą, która, oblewając purpurą nagie pnie, ku górze topniała, rozsiewała się między liśćmi, zlewała się z nimi w jedno połyskliwe, drgające złote morze. Dalej w las — światło coraz szarzało, bladło, tu i ówdzie wybuchało jeszcze snopami złotych promieni, które ciągnęły się smugami daleko w las, wsiąkając stopniowo w jego ciemną głębię, wreszcie jeszcze dalej — przez zbitą gęstwę drzew, przedzierały się zaledwie samotne, nikłe promyki, które zapalały się raptem na ciemnem tle liści i gasły, zakłówszy w oczy jak rozpalone do czerwoności ostrze igły.

Antoś kręcił się na rękach, jak piskorz.

— Mama, mama, pa, pa!.. — wołał, wyciągając do światła obie rączki.

— To nie pali się, to słoneczko tak się uśmiecha do Bozi przed spaniem. Nachodziło się przez cały dzionek i raduje się teraz, że już se wypocznie niedłużko. A ty jeszcze nie chcesz spać, nie?

— Nie, nie, nie!...

Raptem Hanka usłyszała za sobą skrzypnięcie obuwia. Obejrzała się i na chwilę dech jej w piersiach zaparło. Ujrzała kozaków.

— Jezu — przeleciało jej przez głowę — Jezu!

— O mama, o! — szczebiotał w dalszym ciągu mały.

Przycisnęła go mocno do bijącego serca i przyspieszyła kroku.

— Cichaj, syneczku mój, cichaj — szeptała — cichaj! —

Jednocześnie, nie odwracając się, nadsłuchiwała całą duszą, czy ją przypadkiem oczy nie zawiodły, czy wreszcie kozacy nie skręcą sobie w bok, w swoją drogę. Lecz nie! Skrzypnienie rozlegało się coraz bliżej i wraz z niemi zaczęły dolatywać wybuchy rubasznego śmiechu.

Leciała teraz naprzód, jak na skrzydłach. Drogi ubywało szybko, lecz jednocześnie zmniejszało się oddalenie między nią i jej prześladowcami, wyraźnie, już słyszała ich żarty i śmiechy.

— Ej, gołąbko, zaczekaj — odezwał się któryś. — Nie bój się nas, nie zjemy przecie!

— My nic, nic — zawtórowali mu ze śmiechem inni — ot, chyba tak tylko... coniebądź!

Hanka usta miała zaciśnięte, nie starała się już nawet uciszyć rozbawionego chłopca. Zaczynała nabierać strasznej pewności, że ona to jest wyłącznym celem ich prześladowania i w głowie jej powstał naraz dziwny zamęt, pośród którego kołatała nieustannie jedna tylko myśl, streszczająca w sobie całą jej bezradność: — Mateńko Boża, Mateńko Boża!

Wkrótce i oni przestali się odzywać. Szli za nią tuż tuż, w jakiemś naprę-

ciem Moskali do niewoli, następnie był korowód z pochodniami i muzyką przez wszystkie ulice miasteczka. Po półgodzinnym spoczynku udaliśmy się na przedstawienie, gdzie amatorzy odegrali »Gwiazdę Syberyi«. Po przedstawieniu, o godzinie 1-szej w nocy, pożegnaliśmy proboszcza i obywateli radomyskich i udaliśmy się napowrót przez San do Skowierzyna, dokąd zaprosił nas p. Kanarek, który z całą rodziną swoją w obchodzie brał udział. W skowierzyńskim dworze zastaliśmy na 40 osób zastawioną kolacyę, do którejśmy zaraz zasiedli

Po kilku toastach wniesionych przez czcigodnego gospodarza, posłów Bojki i Krempy, oraz kilku akademików i włościan, udaliśmy się na spoczynek, a rannym pociągiem rozjechaliśmy się pokrzepieni na duchu i pełni wdzięczności do domu. *Jeden z uczestników.*

* * *

Ważniejsze momenta obchodu kazaliśmy odfotografować i w najbliższych numerach będziemy je reprodukowali. *Redakcya.*

Wydalanie Polaków z Prus a graf Gołuchowski.

„Naprzód“ pisze: Podczas gdy p. Gołuchowski korzy się przed blachą z orłem niemieckim, jak pobożny prostaczek przed monstrancyą i nie wie formalnie, gdzie i jak ściskać na przeprosiny niemieckiego rezydenta Filipa Eulenburga, nie przestają Prusy wydalać austryackich poddanych bez najmniejszego powodu; zwłaszcza ze Śląska pruskiego masami wydalani są poddani austryaccy, głównie z regencyi opolskiej. Wśród tysięcy wydalanych rocznie pod pretekstem, iż są „uciążliwymi obcokrajowcami“ (obywatele po uszy „zaprzyjaźnionego“ państwa!) znajdują się nawet niemowlęta, jak owa 3-miesięczna Sztyglicówna, która, jak w urzędowym nakazie genialnie napisano: „ma dobrowolnie opuścić granice państwa pruskiego w przeciągu oznaczonego terminu“... Czy złośliwe szykanowanie i rujnowanie materyalne obywateli „zaprzyjaźnionego“ mocarstwa nie jest stokroć ważniejszym powodem do energicznej interwencyi, niż kocia muzyka, przerywająca drzemkę jakiemuś konsulowi, lub zdrapanie pociskiem jednego pióra w ogonie blaszanej malatury?

Ale graf Gołuchowski umie tylko się kłaniać i przepraszać, a nie umie choćby w imię godności państwa, które reprezentuje (nie mówiąc już zupełnie o innych powodach, niedostępnych dla austryacko-grafskiego mózgu), zaprotestować przeciwko takim szykanom i przycisnąć do muru tego samego Filipa, który jemu, jak żakowi, ciągle usprawiedliwiać się każe. Przecież Austrya ma takie samo prawo czynienia remonstracyi Niemcom, jak Niemcy Austryi. Przecież Austrya nie jest jakąś wasalką, czy utrzymanką hohenzollernską. W stosunkach wzajemnych z Pruso-Niemcami serwilizm nie popłaca zupełnie, jest najszkodliwszym systemem, bo uchodzi w ich oczach za równoznaczny z słabością; raczej imponuje im brutalność jakiegoś Chamberlaina. Po niedawnej mowie tego drwiącego sobie z wszelkich konwenansów ministra, który pruską kampanię z r. 1870 nazwał stokroć bardziej barbarzyńską od anglo-transwalskiej, dziś Wilhelm-wielomówny fetuje księcia angielskiego, darzy go tem, co uważa za najlepsze w swojem państwie, tj. własną wymową i tytułami szefa różnych pułków dragońskich i grenadyerskich.

Wytopienie Chińczyków w Błagowieszczeńsku.

Równocześnie z opowiadaniem Wereszczagina w „Wiestniku Jewropy“ o bestyalskim mordzie masowym, dokonanym na ludności chińskiej w Błagowieszczeńsku, podaje naoczny świadek tej strasznej sceny w „Neue Zeit“ bardzo obszerny opis, wskrzeszający wiele szczegółów, o których „Wiestnik“ nie wspomina. Już 14 lipca, gdy z chińskiego brzegu padły pierwsze strzały na Błagowieszczeńsk, poczęły się wśród ludności rosyjskiej ujawniać pierwsze wystąpienia nieprzyjazne wobec Chińczyków. Zaczęto ich napastować na ulicy; z nastaniem wieczora zdarzyło się wprost na ulicy kilka wypadków pomordowania ludzi, których strój chiński zdradzał. Osoby bardzo kompetentne utrzymują, że sami urzędnicy policyjni podszczuwali ludność do rzezi, rozpowszechniając podejrzenie, iż Chińczycy błagowieszczeńscy mogą dla poparcia swych współplemieńców podpalić nocą miasto.

Następnego dnia rozegrała się już tragedya: Oddziały kozaków i policyi krążyły od domu do domu, wypytując się, czy nie mieszkają tam Chińczycy. Na zapytanie, na co ta wiadomość potrzebna, odpowiadali, iż wszystkich Chińczyków zbierze się razem, ażeby módz nad nimi rozciągnąć nadzór. Chińczycy jednak przeczuwali katastrofę i pytali lękliwie, czy będą ścięci. Nie mylili się zbytnio. W odległości kilku wiorst od Błagowieszczeńska znajduje się tuż nad Amurem stanica kozacka. Tam ze świtaniem popędzono ich tysiącami pod eskortą kozaków — mężczyzn, kobiety

---

żonem milczeniu, czuła na plecach ich gorące oddechy, odczuwała niemal myśli, rozsnuwające się wokół jej osoby, jak sieć pajęcza i zaczynała doznawać dziwnego skrępowania w ruchach, sztywniejące nogi odmawiały jej posłuszeństwa, traciła siły...

— Mateńko Boża!!

Raptem skręciła z drogi i pobiegła pędem wąską leśną ścieżyną. Za chwilę przystanęła, by tchu zaczerpnąć, lecz usłyszawszy trzask łamanych gałęzi, skręciła znów i zanurzyła się w zbitym, splątanym gąszczu leśnym.

Biegła teraz na oślep. Gałęzie szarpały jej odzież, wydzierały całe pęki włosów z głowy, ostre sęki do kości wżerały się w bose nogi, lecz ona nie czuła. Z całej mocy przycisnęła do piersi dziecko, które wylęknięte, smagane boleśnie gałęziami, zanosiło się od płaczu i pędziła naprzód, co chwila padając, zrywając się znów z przerażonemi oczyma.

Ile czasu tak biegła i gdzie się obecnie znajdowała, nie zdawała sobie z tego żadnej sprawy, cała jej świadomość skupiała się w tem jednem tylko — uciekać, uciekać, uciekać!...

Tymczasem słońce zdążyło skryć się za widnokręgiem. Ostatnie promienie raz jeszcze przelotnie, jakby się spiesząc, musnęły najwyższe szczyty drzew — z gęstych, szeroko rozsiadłych krzaków zaczęły wypełzać szare nieruchliwe cienie.

Hance chwilami tchu nie stawało. Co raz częściej padała, rozlegający się tuż za nią straszliwy huk pogoni znów ją podrywał na nogi, rzucała się naprzód ostatkiem sił, jak oślepła uderzała o pnie, wreszcie w uszach zaczęło jej dzwonić, ciemność nadchodzącej nocy zlewała się z ciemnością, ogarniającą jej duszę, serce ścisnęło się bolesnem zimnem... stanęła.

Żołdacy moskiewscy byli tuż.

Spojrzała na nich z bliska z jakąś straszną ciekawością i cała jej świadomość stała się naraz jednym niemym krzykiem dzikiej, beznadziejnej rozpaczy, który zwrócił się wewnątrz niej samej i ugodził we własne jej obumierające trwogą serce. Z ich skośnych, błyszczących roznamiętnieniem oczu odgadła, co ją czeka.

Na jedno mgnienie oka, prześladowcy jakby zawahali się, na pobladłych od hamowanej żądzy twarzach słaniał się jakby uśmiech — ostatni odblask czegoś ludzkiego. Lecz to trwało krótko. Najbliżej stojący brutalnie przełamał w sobie to coś, co jeszcze mu przeszkadzało i nagle jak dziki zwierz rzucił się na nią.

Wywiązała się krótka walka, w której kobieta prędko została pokonana przez trzech mężczyzn.

Dziecko zaczęło krzyczeć rozpaczliwie — kopnięcie nogą uspokoiło je. Potoczyło się parę kroków po ziemi, uderzyło główką w pień i zacichło.

I zaczęła się straszliwa swą potwornością orgia. Noc zakryła czarną płachtą ohydę sponiewierania przez zdziczałe jednostki ludzkie najistotniejszych znamion ludzkości. Z początku słychać było jeszcze głuche jęki ofiary, później tylko dzikie chrapanie, ostry świst zduszonych oddechów, syki wściekłości gryzących się wzajem w zapamiętaniu rozzwierzęcenia potworów ludzkich.

Gdy po paru godzinach księżyc wypłynął nad drzewne szczyty i rozświecił głąb lasu srebrnymi promieniami, Hanka leżała jak bez duszy, zmiażdżona, stra-

i dzieci. Kto wskutek wieku, choroby, kalectwa lub wzruszenia nie mógł iść dalej, tego zaraz po drodze mordowali kozacy spisami. Gdy tłumy nieszczęsnych spędzono nad brzeg rzeki, kazano im iść do wody. Żadnych środków transportu nie było. Rzeka w tem miejscu liczy pół wiorsty szerokości i płynie rwącym prądem. Chińczycy popadali na ziemię, błagając swych katów, by ich nie wysyłali na pewną zgubę; niektórzy (gdyż byli tam i chrześcijanie) żegnali się z przerażenia, ale nieludzcy wykonawcy otrzymanego rozkazu kolbami, szablami i spisami wpędzali wszystkich do wspólnego grobu w nurtach rzeki. Mężczyźni, kobiety przywiązywali swe dzieci do grzbietów i usiłowali wpław przebyć rzekę... Napróżno. Tylko nielicznej garstce dobrych pływaków udawało się zbliżyć do przeciwnego brzegu, ale tu celna, zdradziecka kula kozaka trafiała ich w chwili, gdy już kurczowo chwytali się ziemi. Ohydę tego mordu podnosi fakt, iż Chińczycy, przeczuwając, że pobyt ich w Błagowieszczeńsku grozić im może niebezpieczeństwem, chcieli wraz z swojem mieniem opuścić miasto, otrzymali wszakże zapewnienie od komendanta Gribskiego, że włos im z głowy nie spadnie.

Ocalała tylko nieliczna garstka, dzięki stosunkom i pieniądzom, w tej liczbie największy bogacz Jun-Dha-San, który jeszcze przed zaatakowaniem Błagowieszczeńska przez oddziały mandżurskie zamieszkał w pałacu gubernatora jako przedstawiciel Chin, ale, jak sam opowiadał, fakt, że pozostał przy życiu, zawdzięcza tylko ogromnym łapówkom, któremi opłacił się w sferach miarodajnych. Wogóle jednak policya, kozacy i większa część ludności rosyjskiej miasta, wpadłszy w szał zbrodniczy, wolała widzieć śmierć Chińczyków, gdyż to dawało możność wzbogacać się łupieztwem, zabierać pozostałe po nich pieniądze, towary, kosztowności. Naturalnie, najwięcej łupów wpadło w ręce eskorty policyjno-wojskowej, ale na owej ohydnej zbrodni, godnej hord Tamerlana, zarobili nawet ludzie, zajmujący tak wybitne stanowiska, jak dyrektor półoficyalnego „Rosyjsko-chińskiego banku“ Schliwe, który pod pretekstem ściągania wierzytelności bankowych z majątku potopionych Chińczyków, stokrotnie się obłowił. Bogaci kupcy rosyjscy, jak Bujanow, mający młyn parowy, nie wstydzili się brać udziału w ogólnej grabieży. A teraz ciekawy przyczynek, jak usiłowano wobec świata zamaskować ten czyn barbarzyński: „Amurska gazeta“ podała w kilka dni potem lakoniczną wiadomość, iż „Chińczycy, zamieszkali na terytoryum rosyjskiem, zostali z tegoż wydaleni, ponieważ zaproponowano (!!) im udanie się na przeciwległy brzeg rzeki“. Więc wymordowanie kilkunastu tysięcy ludzi, którym żadnej winy nie zarzucono, nazywa się „propozycyą“! Czy może iść dalej bezczelność i perfidya? Takie pytanie mógłby sobie zadać ktoś nie znający t. z. urzędowych raportów rosyjskich, które służą do najbezwstydniejszego mydlenia oczu zagranicy. Rosyjska agencya telegraficzna w tym czasie rozesłała do wszystkich biur korespondencyjnych tekst raportu generał-gubernatora kraju amurskiego Grodekowa, który o tysiącznych trupach wytopionych Chińczyków, płynących po rzece, pisał: „Chińczycy wrzucają (!) swoich rannych i zabitych do rzeki; takich trupów naliczono 40 (!)“.

100-rublowy romans moskalofilski.

Istnieją w Rosyi t. zw. „Towarzystwa słowiańskie“, które rublami nawożą teren dla szerzenia moskalofilstwa poza granicami Rosyi i budują jawne lub podziemne kanały, mające, w myśl słów Puszkina, wszystkie „strumyki“ słowiańskie sprowadzić do „rosyjskiego morza“.

Wrzawa moskalofilska, podniesiona przez ugodowców wszelkiej liberyi po Wrześni, wydała się jednemu z tych towarzystw, mianowicie moskiewskiemu, momentem odpowiednim do zaryzykowania pierwszej sumki na rzecz Polaków, którym dotąd nie śmiano proponować takich pieniędzy! Więc „starsi bracia“ z Moskwy białokamiennej, przybrawszy się w wężową skórę, nadesłali 100 rubli na dzieci wrzesińskie do rąk eks. Jaworskiego.

Człowiek, szanujący swoją godność Polaka, skoroby nań spadło takie niemiłe zlecenie, odesłałby te pieniądze napowrót, a dla uniknięcia przed własnem sumieniem zarzutu, że uszczuplił w ten sposób nie swój fundusz, pokryłby różnicę z własnej kieszeni. Sądzimy, że nawet średnio-zamożny człowiek, nie zdeprawowany ugodą i mający poczucie honoru narodowego, zdobyłby się na takie pokrycie. Ale „regimentarz“ Jaworski?... Ten pan uznał za właściwe datek przyjąć, a na list, nadesłany przez Czerepa-Spiridowicza, prezesa moskiewskiego towarzystwa słowiańskiego, odpowiedzieć również listem, mającym, wedle petersburskiego „Kraju“, wiedzącego zaraz i bez telegrafu Marconiego, co w ugodowej trawie piszczy — następujące brzmienie:

„Panie prezesie! Za objaw gorącego współczucia dla uciemiężonych braci we Wrześni (czyich? — rosyjskiego Czerepa, czy polskiego „regimentarza“, czy może wspólnych: „słowiańskich“ — obu tych dżentelmenów?) racz przyjąć, wielce szanowny Panie, szczere, a serdeczne pozdrowienie. Datek pieniężny został według przeznaczenia odesłany. Z wysokiem poważaniem *Apo-*

---

towana, nawpół naga lecz nieświadoma swej nagości, nie czując już nawet własnego zbolałego ciała.

Wreszcie i ich zaczęły siły opuszczać.

Wyczerpane ciała padały już pod nawałem doznanych wrażeń, lecz rozszalały huragan żądzy szukał dla siebie ujścia, zalane krwią mózgi płomieniały pożądaniem czegoś straszliwego, nadludzkiego, mordu, pożogi, zanurzenia trawionych ogniem ciał w morzu przelanej krwi...

Jakby wyrażając nieświadomie wspólne pragnienia, jeden z nich pochwycił ostrą, pękatą gałąź.

Wszyscy trzej ze drżeniem pochylili się nisko nad leżącą, zaparli w sobie dech, by nie znosić najlżejszego cienia przeczuwanej rozkoszy — gałąź zagłębiła się z chrzęstem w obnażone ciało.

Z piersi nieszczęsnej wydarł się jeden straszny zwierzęcy ryk, zwinęła się w miejscu, jak stalowa sprężyna, krew bluznęła fontanną z szerokiej rany.

I naraz oprawcy zostali jakby olśnieni.

Zdawało im się, że ryk ten uderzył im piorunem w głowy, przewiercił do szpiku kości. Po najwyższem napięciu zbrodniczego rozzwierzęcenia, owładnęła nimi naraz czysta zwierzęca bojaźń.

Jak ścigane jelenie pierzchnęli w las, każdy w inną stronę, z tym huczącym pod czaszką rykiem zamordowanej ofiary, nikczemni, gotowi z przerażenia popełnić jeszcze większą zbrodnię, a blady strach z rozwianym włosem trop w trop pędził za nimi, jak tygrys, rzucał się na piersi, zagłębiając zimne kły w serca i mózgi, doprowadzając niemal do obłędu.

Długo jeszcze wnętrze lasu rozbrzmiewało odgłosami szalonej ucieczki, słychać było huk pękających pod stopami gałęzi, szelest rozrywanych piersiami krzewów.

Zwolna jednak odgłosy te słabły, zamierały w oddaleniu. Tu i ówdzie zakołysała się jeszcze wykręcona w szalonym pędzie gałązka, rozprostowała się przydeptana trawa.

Hanka leżała w kałuży krwi, nieruchoma, na wieki znieczulona na wszelkie cierpienia i bole i tylko blada śmierć płynęła nad nią w srebrnych blaskach księżyca, a od powiewu jej szeroko rozwartych skrzydeł leciał naokół smutek i zimna martwa cisza.

I naraz w tej ciszy w pobliżu leżącej zaczęły się rozlegać przeciągłe, jękliwe westchnienia. To Antoś dawał znaki życia.

Rozbita o pień główka, kamieniem opadała mu na ziemię, zimno wilgotnej mszystej podściółki przeniknęło biedne członki — i leżał, dygocąc na całem ciele, z zamąconą dziecięcą świadomością, bezwiednie tylko skarżąc się łzami na doznawaną mękę.

Po długiej chwili coraz bardziej dokuczający mu chłód, oprzytomnił go trochę. Poruszył się nieco żywiej; w boku, w który go kopnięto, zakłuło go, jak ostrym nożem, zajęczał przeciągle i bezradny, nie mogąc znaleść dogodnego miejsca, usiadł.

Ból stał się jeszcze dotkliwszym.

Wówczas wybuchnął nieutulonym płaczem i trząsł się spazmatycznie, rozcierał sobie gorzkie łzy, rozżalony, nie mogąc nic pojąć, dlaczego ta, której wzywał, po raz pierwszy nie spieszy mu z pomocą. (C. d. n.)

linary Jaworski, prezes Koła polskiego w Wiedniu“.

List ten jest cennym dokumentem dzisiejszej Targowicy — pisze „Naprzód“.

Przegląd polityczny.

Austrya.

Senzacyjna pogłoska. Opowiadają tu, że z Wiednia nadeszła depesza, której treść krótko da się streścić w słowach: „biegeu und brechen“. Do Wiednia mają być powołani: komendant lwowskiego korpusu generał Fiedler i korpusu krakowskiego generał Albori.

Łączą to z pogłoską, że generał Albori zostanie namiestnikiem po ustąpieniu hrabiego Pinińskiego.

Rada państwa została zwołaną na dzień 4-ego lutego b. r.

Zwrot ku Austryi.

Król serbski wysłał kilku mężów zaufania w poufnej misyi za granicę. Zanosi się na zmianę systemu, mianowicie na zbliżenie do Austro-Węgier. Delegaci króla w Wiedniu stawiają za warunek: rozwód z Dragą i wytoczenie procesu o zdradę stanu Jovanowiczowi. Król nie ma zaufania do premiera Vuicza i jest oburzony na rosyjskiego posła, który go formalnie ignoruje. Na ostatnim balu dworskim król wyróżniał specyalnie posła austryackiego, barona Heidlera, a na rosyjskiego nie zwracał uwagi.

Uregulowanie granicy austryacko-niemieckiej.

„Reichsgesetzblatt“ ogłasza ustawę o uregulowaniu granicy niemiecko-austryackiej wzdłuż rzeki Przemszy.

Serbia.

Śmierć Christicza. Dr. Mikołaj Christicz, były prezydent gabinetu serbskiego, umarł tutaj w sobotę.

Dr. Mikołaj Christicz urodził się w r. 1818 w Mitwicy, w Syrmii, a w Serbii był urzędnikiem sądowym. Od r. 1860 do 1868 był ministrem spraw wewnętrznych. Podczas małoletności Milana i Aleksandra, był ich opiekunem. — Od roku 1895 do 1901 był Christicz prezydentem Rady stanu. Cały swój, wcale pokaźny majątek, zapisał zmarły mąż stanu serbskiej akademii umiejętności.

Z Chin.

Władze znalazły nienaruszony skarb, przeszło 100 milionów taelów, które przed ucieczką zakopano.

Janszikhai, który wykonuje kontrolę nad armią i marynarką, zaproponował, aby zaprowadzono instruktorów angielskich dla marynarki, a japońskich dla armii. Obecnie jest już 40 oficerów japońskich czynnych.

Oficer niemiecki Matius został przez rozbójników zabity. Ma on przestrzelone płuca. Matius jechał z żołnierzami jako patrol i został napadnięty przez rozbójników w odległości 16 mil na wschód od Tientsinu.

Włochy.

Podróż króla włoskiego do Petersburga. „Mittagsblatt donosi z Paryża: Dzienniki otrzymują wiadomość z Rzymu, że król włoski uda się w maju do Petersburga w czasie, gdy tam bawić będzie także prezydent Francyi Loubet.

Anglia.

Rozruchy w Indyach angielskich. „Daily Cronicle“ dowiaduje się z dobrego źródła, że w Indyach obiegają pogłoski, iż na wiosnę wybuchną w Afganistanie rozruchy. W Pendżab sądzą powszechnie, że w ciągu zimy nagromadzą się rosyjskie wojska na granicy Afganistanu i ile możności wpadną do Afganistanu, skoro śniegi ustąpią. „Daily Chronicle“ donosi dalej, iż dowiaduje się, że na granicy angielskiej zarządzono środki defenzywne, aby być przygotowanym na tę ewentualność. W Pendżab odbędą się tegoroczne manewry w niezwykłym czasie, a mianowicie w miesiącu lutym. Wszystko wkrótce będzie na stopie wojennej. Kilka pułków obecnie już się zgromadziło, wrzekomo dla zwalczenia szczepów, w rzeczywistości jednakże ze względu na obawę poważnych zawikłań.

Parlament angielski.

Londyn. W izbie gmin sekretarz stanu Brodrick, odpowiedział na pytanie pewnego posła, iż Sheepersa stracono dlatego, że dopuścił się morderstwa na 7 osobach, a jednego białego kazał obiczować. Mac Loren zapytuje, czy w lipcu 1901, uczyniono rządowi angielskiemu jakieś propozycye w sprawie zakończenia wojny transwaalskiej? Pierwszy lord skarbu, Balfour, odpowiada, że rządowi nie zrobiono żadnych propozycyi pokojowych imieniem wodzów boerskich. John Redmont wraca do dyskusyi adresowej i przedkłada wniosek energicznego protestu przeciw obecnej administracyi w Irlandyi.

Parlament australski.

Londyn 24 stycznia. Do „Timesu“ donoszą z Melbourne: W parlamencie związkowym przychylny Boerom dep. Higius wniósł petycyę, opatrzoną 800 podpisami, a wzywającą rząd, aby powstrzymał wysyłkę wojsk australskich do Afryki południowej. Izba petycyę tę przyjęła w milczeniu. Prezydent gabinetu oświadczył, iż rząd, czyniąc zadość życzeniu Chamberlaina, wyśle wojska do Afryki południowej. Oświadczenie to powitano oklaskami.

Wojna w Transwaalu.

Wojna w Transwaalu a raczej ciągłe utarczki między wojskami angielskiemi a Boerami wciąż trwają i nie ma nadziei aby przelew krwi prędko ustał, gdyż ani Anglicy ani Boerzy ustąpić nie chcą, krążą wprawdzie pogłoski przez Anglików rozsiewane, że Boerzy chcą wejść w ugodę z Anglią, ale takim wieściom wiele przypisywać nie można, tembardziej, że wieści takie zostają wciąż ze strony Boerów zaprzeczane. W ostatnich dniach większych bitew w Transwaalu nie było, donoszą tylko z Londynu, że Lord Kitchener telegrafował, iż generał boerski Ben-Viljvens i Jan Botha wzięci zostali do niewoli. Komendant Burów Beyers wtargnął 22 bm. do obozu koncentracyjnego koło Pietersburga i uprowadził z sobą wielu burgherów. Następnie napadł na Pietersburg prawdopodobnie celem zdobycia broni dla nowo zyskanych wojowników. Atak nie powiódł się. Anglicy odparli Beyersa, który stracił 3 zabitych i 3 rannych. Dnia 23. usiłowali Burowie wysadzić w powietrze pociąg kolei żelaznej, koło Pietersburga. Mina eksplodowała, nie wyrządziła jednak żadnej szkody.

Dnia 26. bm. udało się wielu agentów biura wywiadowczego do farm koło Lydenburga, spodziewając się wziąć do niewoli niejakiego Hindona, znanego specjalistę w niszczeniu pociągów kolejowych. Hindona nie było, ujęto natomiast Viljoena z dwoma adjutantami.

Pułkownik Wilson zabrał koło Strydom 20 jeńców, którzy potem uciekli lub zostali rozstrzelani, gdy na Wilsona napadli Burowie ze znaczną siłą. Boerowie musieli w końcu ustąpić, straciwszy 10 zabitych, i prosili później o pomoc lekarską. Straty Anglików wynoszą 3 zabitych i 5 rannych.

Hamilton zabrał 24. stycznia koło Boschmansfonstein 12 jeńców. Tego samego dnia poddało się koło Irena 12 uzbrojonych Burów.

Z Berlina donoszą: Między rządami angielskim a niemieckim odbywają się rokowania w sprawie doręczania rodzinom burskim w obozach koncentracyjnych zebranych w Niemczech pieniędzy, ubrań, lekarstw itp. Wobec tak podniosłego celu humanitarnego spodziewane jest rychłe poruzumienie.

Boerzy na wyspie św. Heleny. Jeden z dzienników monachijskich ogłasza list pewnego Niemca, który walczył jako ochotnik po stronie Boerów i dostawszy się do niewoli angielskiej, został z innymi jeńcami wywieziony na wyspę św. Heleny.

„Przed zawarciem pokoju nie zostanie wypuszczony na wolność żaden obcokrajowiec. Muszę jak wszyscy inni, wypić kielich do dna. Anglicy mają zamiar nas, obcokrajowców, wywieść w przeciągu trzech do czterech miesięcy na Jamajkę, albo na jednę z wysp Folklandzkiej (na południu Ameryki połudn[illegible]wej) i tam zupełnie odosobnić, jak to się stało w Indyach i na Cejlonie. Nasza odzież i bielizna są nieszczególne; nie mamy nic podwójnego dla zmiany. Wikt codzienny składa się z pół bochenka chleba, często nieudałego, z podawanej dwa razy kawy (zabarwiona wodą) z mlekiem, tudzież funta mięsa, z przewagą kości i tłuszczu. W poniedziałek i piątek za miast mięsa dostajemy „corned-beef“, a zamiast chleba twarde jak kamień suchary. Dostajemy często pozwolenie na zwiedzanie miasta i wyspy, której mieszkańcy są dla nas przychylnie usposobieni. W obozie wszystko jest dozwolone z wyjątkiem alkoholu. W ciągu miesiąca wolno napisać tylko 4 listy i kilka kartki. Cenzura jest bardzo surowa. W listach, które otrzymujemy, znajdują się często wycięte ustępy, zapewne treści politycznej. Zdrowie nasze w dobrym znajduje się stanie. Ucieczka stąd jest niemożliwą.

KRONIKA.

Z Skowierzyna donoszą nam: W przeszłym tygodniu szedł szewc z Berdechowa N. przez stare Sanowisko, lód pod nim się załamał i byłby z pewnością niechybną śmiercią zginął gdyby nie obecny na brzegu włościanin Szkutnik, który sztucznym sposobem dostał się do miejsca katastroty i już tonącego biedaka z pod lodu wyciągnął narażając przytem swoje życie.

Zamach na cerkiew. Jeszcze w r. 1898 podłożył ktoś pod cerkiew klasztoru

„Bobojawlenia“ w Kursku maszynę piekielną. Eksplozya wprawdzie nie zniszczyła ani klasztoru, ani cerkwi, jednakże skutkiem wybuchu wypadły schodki drewniane na podmurowaniu, prowadzące do obrazu Matki Boskiej. Uszkodzeniu uległa krata i okolona kratą sień. Zarządzone w tej sprawie śledztwo, w jesieni 1901 r. doprowadziło do wyników pozytywnych, przyczem aresztowano: Anatola Ufimcewa, syna Jerzego, lat 20, Leonidasa Kiszkina, syna Włodzimierza, lat 21, Bazylego Kamieniewa, syna Engrafa, 22 i Anatola Łatugina, syna Mikołaja, lat 21. Wszyscy przyznali się do przestępstwa. Z objaśnień, przez nich udzielonych, okazało się, że wybuch urządzono na wniosek Ufimcewa, który chciał tym sposobem „zachwiać wiarę w czczoną świętość“. Z niezwykłym tym swoim zamiarem Ufimcew zwierzył się przed Kiszkinem, Kamieniewem i Łatuginem, z których pierwszy pomógł przygotować nabój wybuchowy, drugi dostarczył zegaru, przy którego mechanizmie wybuch mógł być dokonany, w czasie oznaczonym gdy nabój był przygotowany, Umficew i Kiszkin w towarzystwie Łatugina przenieśli go podczas nabożeństwa nocnego do soboru. Kiszkin, zbliżywszy się z dwoma ostatnimi do obrazu Matki Boskiej, nieznacznie spuścił nabój u podnóża. Przyrząd owinięty był w watę, aby stuku nie wywołać. Mechanizm nastawiony był tak, aby wybuch nastąpił o godz. $1^1/_2$ w nocy, gdy w świątyni nabożeństwo się nie odbywa. Śledztwo stwierdziło szczere zeznania oskarżonych, a obecnie skazano Ufimcewa do obwodu akmolińskiego na 5 lat, Kiszkina, Kamieniewa i Łatugina do wschodniej Syberyi z terminem: pierwszego na 5 lat, pozostałych dwóch na 3 lata.

W pruskich usługach. Z Krosna otrzymujemy następujący list:

Zaraz po przeczytaniu pierwszej wzmianki o tem, że dyrekcya poczt poleciła urzędom pocztowym zwracać sobie listy, pochodzące z Prus a zaopatrzone napisem: „retour, vide Kinderquälereien in Wreschen“, wpadłem na pomysł, by listy takie, opatrzone powyższą uwagą dawać do nowych kopert i adresować do firm pruskich. Sposób ten propaguję między moimi znajomymi ze skutkiem i proponuję, by Szanowna Redakcya zechciała go podać do publicznej wiadomości. Strata 10 halerzy wynagrodzoną będzie zadowoleniem, że się w dobrym celu to robi. *Z. S.*

„Woda oblęgórska“. Jak z telegramu wiadomo, w Oblęgórku, ofiarowanym niedawno Sienkiewiczowi, wytrysnęło źródło wody mineralnej. Źródło jest obfite i sączy wodę przeźroczystą, smaczną i zdrową w rodzaju czeskiego „Giesshüblera“ lub kaukazkiego „Narzana“. Wodę tę przywieziono już do Warszawy, a jedno z biur technicznych, przeprowadziwszy analizę chemiczną przekonało się, że „woda oblęgórska“, jak ją nazwano, doskonale nadaje się do używania, jako strawny i zdrowy napój alkaliczny. „Woda oblęgórska“ czerpana jest już w butelki i ma być niebawem zaprowadzona w handlu na próbę, czy publiczności naszej przypadnie do smaku. *Kuryer Warszawski* proponuje, aby dla nadania wodzie, pociągającej samą nazwą przynęty, nazwać nowe źródło w Oblęgórku „źródłem Zagłoby“.

Agentura Amerykańska w Królestwie. Przedstawiciel Stanów Zjednoczonych Ameryki północnej w Warszawie wystosował do swego ministerstwa handlu obszerny referat w sprawie zbytu towarów amerykańskich na targach w Królestwie polskiem. Referat wykazuje niechęć, jaka objawiła się w ostatnich czasach do wyrobów niemieckich, dalej zaś potrzebę ustanowienia w Warszawie agentur, które przedstawiłyby rozmaite firmy amerykańskie, produkujące machiny rolnicze, wyroby ze stali, oraz inne artykuły zbytu szerszego. Otwarcie podobnej agentury w Warszawie ma podobno wkrótce nastąpić.

Polski Uniwersytet ludowy im. A. Mickiewicza w Wiedniu. W sprawie założenia w Wiedniu oddziału polskiego Uniwersytetu ludowego im. Adama Mickiewicza zwołał komitet związkowy stowarzyszeń polskich ogólny wiec polski do sali Hambergera na niedzielę 26 stycznia. Wielką salę zapełniła po brzegi oprócz robotników miejscowa inteligencya polska, oraz młodzież akademicka.

Wiec zagaił p. Terakowski. Przewodniczącym wybrano inżyniera p. Konrada Korytyńskiego, zastępcą technika p. Andrzeja Galicę.

O potrzebie założenia w Wiedniu oddziału miejscowego Tow. Uniwersytetu ludowego referował p. Juliusz Korski, który przedstawił działalność podobnych instytucyj zagranicą i w kraju i ich wpływ na podniesienie poziomu umysłowego u klas pracujących.

W końcu, po przemówieniu całego szeregu mówców, przyjęto jednogłośnie postawioną przez p. Galicę rezolucyę: „Zważywszy, iż niewielu Polaków może korzystać z wykładów popularnych w języku niemieckim; że wykłady w języku polskim są poważnym czynnikiem uświadomienia narodowego, zgromadzeni uchwalają rozpocząć jaknajenergiczniejszą akcyę, celem poparcia mającego się utworzyć w Wiedniu oddziału Uniwersytetu ludowego im. A. Mickiewicza“.

Cieszcie się kobiety! Donoszą z Norwegii: Odelsthing przyjął projekt ustawy, dopuszczającej do mianowania także kobiet ławnikami sądowymi (Gerichtsbeisitzer).

Gospodarkę moskiewskich satrapów uczuwają coraz dotkliwiej wszystkie sfery ludności finlandzkiej. Generał-gubernator Bobrikow nie krępuje się niczem, na nic nie ma względu, nawet na karność wojskową. I tak pewien strzelec rosyjski strzelił z rewolweru do jednego z oficerów finladzkiego pułku dragonów w Willmanstrand. Chociaż go pochwycono na gorącym uczynku, skręcono kark tej sprawie na rozkaz Bobrikowa, który oświadczył, że strzelec rosyjski polował za wiewiórki, a oficer finlandzki przypadkowo znalazł się na linii strzału. A wprost uwierzyć trudno w drugi fakt, który jednakże jest autentycznym.

W cerkwi w Willmanstrand dziewięciu prawosławnych rekrutów dragonów z finlandzkiego pułku składało przysięgę w obecności generał gubernatora Bobrikowa. Po skończonej ceremonii Bobrikow zwrócił się do dragonów i zawołał tak głosno, ażeby go wszyscy słyszeli: „Pozdrówcie odemnie waszego pułkownika i powiedzcie mu, że jestem z niego niezadowolony“. Wobec takiej publicznej obelgi wszyscy oficerowie, urzędnicy cywilni, a nawet pastor pułku dragonów podali się do dymisyi. Bobrikow wysłał do pułkownika generała Rodsijankę, który pułkownika prosił o cofnięcie podania. Pułkownik odmówił, a wtedy Bobrikow podania jego nie posłał wcale do Petersburga. Wkrótce potem przyszedł z Petersburga rozkaz, usuwający pułkownika ze służby.

Ludność Londynu. Podług ostatniego spisu ludności, w roku 1901 Londyn liczy 4,536 000 mieszkańców.

Opór dzieci szkolnych. W Krotoszynie, wsi pod Barcinem, dzieci polskie niechciały odmawiać pacierza niemieckiego — według korespondencyi do „Bromb. Tagebl.“ i „Gesell.“ — i oświadczyły, że nie będą nadal odpowiadały w niemieckiej nauce religii. Przed nauką podobno kilku chłopców namówiło drugie dzieci, aby nie odmawiały po niemiecku, mówiąc, że odtąd musi ustać niemiecka nauka religii, że „biskup pisał do dziedzica, aby dzieciom powiedział, iż pod tym względem nie potrzebują słuchać nauczyciela“.

Pozbycie się djabła. Z Przemyśla donoszą: W Hureczku, tutejszego powiatu wybuchł pożar w domu Michała Lewickiego, który przy silnym wietrze obrócił w perzynę całe jego obejście. Przeprowadzone przez żandarmeryę dochodzenia wykazały, że ogień podłożyła żona pogorzelca, Fruśka, która aresztowana podała, że uczyniła to jedynie w tym celu, by się pozbyć djabła, który chodził w ich chacie po nocach.

NADESŁANE.

Pomnik Bartosza Głowackiego.

Szanowni Czytelnicy „Głosu ziemi sandomierskiej“!

Dzielimy się z Wami ważną wiadomością i dla nas włościan pocieszającą, że starostwo zezwoliło na zbieranie składek na pomnik Bartosza Głowackiego w całym powiecie, a Namiestnictwo na zbieranie składek w całym kraju, lecz tylko po koniec czerwca 1902 r. Więc dalej do pracy i zbierania składek, aby można zebrać na trwały pomnik; teraz dobra pora; są sposobności, bo dużo zabaw, wesel, chrzcin. Prosimy Was, ogłaszajcie wszędzie i zbierajcie po groszu; dobrze, żeby było na kosę lub czapkę dla Bartosza!

Wszystkie Szanowne Redakcye pism w kraju prosimy o ogłoszenie tej wiadomości. Wszystkim Dobrodziejom z góry zasyłamy: Bóg zapłać:

Komitet budowy pomnika.

Zarząd Koła włościańskiego Towarzystwa „Szkoły ludowej“ w Tarnobrzegu, uprasza najuprzejmiej Szanownych Panów Czytelników „Głosu“ o łaskawe darowanie jakich książek powieściowych lub historycznych zbytecznych w domu. Towarzystwo utrzymuje czytelnie a książki, które ma, nie wystarczają dla wszystkich 300 członków włościan, którzy dotąd należą.

Towarzystwo gimnastyczne „Sokół“ w Tarnobrzegu urządza w dniu

8 lutego 1902 r. zabawę z tańcami, na którą podpisany wydział najuprzejmiej zaprasza. Toaleta wizytowa. Cena biletu wstępu: bilet pojedynczy 2 kor., bilet familijny 4 kor. Bufet w własnym zarządzie. Czysty dochód przeznacza się na budowę własnego gmachu. Wydział: L. Regiec, prezes, J. Wojtanowski, sekretarz.

Konkurs na stypendyum. Na uczczenie jubileuszu Najjaśniejszego Cesarza Franciszka Józefa I. ustanowiliśmy stypendyum w rocznej kwocie 480 kor. dla kształcenia praktycznych stawniczych. Zarząd dóbr J. W. P. Augusta hr. Potockiego w Zatorze, ofiarował nam na ten sam cel wspaniałomyślnie kwotę 200 kor., w skutek czego stypendyum wynosi obecnie 680 kor. a stypendysta pobierać będzie miesięcznie 57 kor. z dołu.

Celem nadania w r. 1902 tegoż stypendyum rozpisuje się niniejszem konkurs.

Za zezwoleniem zarządu dóbr J. W. P Augusta hr. Potockiego odbędzie stypendysta naukę i praktykę w gospodarstwie rybnem w Zatorze, w czasie od 1 kwietnia 1902 do końca roku 1902 i otrzyma od zarządu dóbr bezpłatne mieszkanie.

Stypendysta ma się poddać przez cały czas praktyki bezwarunkowo kierownictwu zarządu dóbr w Zatorze i wypełniać ściśle wszystkie dane sobie polecenia, uwzględniać jak najskrupulatniej udzielone sobie wskazówki i instrukcye i pracować przez cały czas z jak największą pilnością, aby mógł przyswoić sobie wszystkie wiadomości dla praktycznego stawniczego potrzebne.

Wypłata przyznanego stypendyum nastąpi za pośrednictwem zarządu dóbr w Zatorze ratami miesięcznemi po 57 kor. z dołu. W razie nagannego sprawowania się, utraca stypendysta stypendyum i nie otrzyma świadectwa odbytej praktyki.

Po odbyciu nienagannem praktyki do końca roku 1902 otrzyma stypendysta od zarządu dóbr w Zatorze świadectwo, które potwierdzi Wydział krajowego Towarzystwa rybackiego w Krakowie.

Podanie o nadanie stypendyum, własnoręcznie przez ubiegającego się napisane, ma być wniesione do 15 marca 1902 do Wydziału krajowego Towarzystwa rybackiego w Krakowie, ulica Mikołajska 2, i dołączyć do niego należy:

1. Metrykę urodzin, wykazującą, iż kandydat ukończył przynajmniej 18 lat życia.

2. Świadectwa, wykazujące, iż kandydat ukończył co najmniej szkołę ludową z dobrym postępem, lub że jest uczniem szkoły wydziałowej.

Kandydaci z ukończoną niższą szkołą rolniczą będą mieć przed innemi pierwszeństwo.

3. Świadectwo lekarskie, wykazujące, iż kandydat jest zupełnie zdrowym i silnym.

4. Świadectwo moralności i nienagannego życia, wystawione przez właściwy urząd parafialny.

Ubiegający się otrzyma na swe podanie odpowiedź na piśmie w ciągu miesiąca marca 1902.

Kraków, 20 stycznia 1902.

Wydział krajowego Towarzystwa rybackiego w Krakowie.

Listy do i od Redakcyi.

Szanowna Redakcyo!

W ostatnim numerze sz. pisma podaje sz. Redakcya jako powód opóźnienia w wydawnictwie, że ja jako drukarz, drukowanie gazetki wystarczyć nie mogłem.

Wobec tego upraszam o łaskawe zanotowanie, że z powodu nawału innych prac drukarskich, roboty dla sz. Redakcyi na czas wykonać nie mogłem.

Z szacunkiem

W. Skrzyniarz.

Z przyjemnością stwierdzamy, iż p. Skrzyniarz jedynie z powodu nawału pracy a nie z opieszałości, lub innego powodu numeru na czas nie dostarczył.

Redakcya.

Dla dogodności sz. Czytelników naszych chcących się udać do Ameryki i innych krajów zamorskich dla zarobku, udzielamy wszelkich wyjaśnień i wskazówek na podróż, jakoteż pomagamy im przy zamawianiu kart okrętowych (szyfskart) zupełnie bezinteresownie i bezpłatnie. Na listowne zapytania prosimy załączyć 10 hal. markę pocztową na odpowiedź.

Jeżeli pytający życzy sobie odpowiedź w gazetce otrzymać, to nie potrzebuje marki na odpowiedź załączać.

L. cz. E 681/1 3

EDYKT LICYTACYJNY.

Na żądanie Piotra Sałka odbędzie się dnia 24 lutego 1902 o godzinie 9 przedpołudniem w sądzie niżej wymienionym, w biurze Nr. 4 w Tarnobrzegu licytacya realności lwh 55 gm. Jadachy Antoniego Garbosia własnej.

Nieruchomość ta wystawiona na licytacyę jest ocenioną na 2.200 koron.

Najniższa cena wynosi 1.466 kor. 67 hal., poniżej tej ceny sprzedaż nie przyjdzie do skutku.

Warunki licytacyjne, które się zatwierdza i odnoszące się do tej nieruchomości dokumenta (wyciąg tabularny, wyciąg katastralny, protokoły ocenienia i t. d.) może każdy, mający chęć kupienia, przejrzeć podczas godzin urzędowych w sądzie niżej wymienionym, w biurze Nr. 4.

C. k. Sąd powiatowy oddz. IV.

Tarnobrzeg, dnia 30 grudnia 1901.

L. cz. E 2535/1 4

EDYKT LICYTACYJNY.

Na żądanie Maurycego Sandmeera zastąpionego przez p. Dra Wilhelma Rebena odbędzie się dnia 26 lutego 1902 o godzinie $9^1/_2$ przedpołudniem w sądzie niżej wymienionym w biurze Nr. 4 licytacya realności lwh 1757 gm. Grębów.

Nieruchomość ta wystawiona na licytacyę jest ocenioną na 466 kor.

Najniższa cena wynosi 310 kor. 66 hal., poniżej tej ceny sprzedaż nie przyjdzie do skutku.

Warunki licytacyjne, które się zatwierdza i odnoszące się do tej nieruchomości dokumenta (wyciąg tabularny, wyciąg katastralny, protokoły ocenienia i t. d.) może każdy, mający chęć kupienia przejrzeć podczas godzin urzędowych w sądzie niżej wymienionym, w biurze Nr. 4.

C. k. Sąd powiatowy oddz. IV.

Tarnobrzeg, dnia 3 stycznia 1902.

L. cz. E 2[illegible] 4

EDYKT LICYTACYJNY.

Na żądanie Markusa Wiesenfelda odbędzie się dnia 3 m[illegible] 1902 o godzinie 9 przedpołudniem w sądzie niżej wymienionym w biurze Nr. 4 licytacya realnołści lwh. 198 gm. Miechocin.

Nieruchomość ta wystawiona na licytacyę jest ocenioną na 1270 kor. 46 h.

Najniższa cena wynosi 846 kor. 96 hal., poniżej tej ceny sprzedaż nie przyjdzie do skutku.

Warunki licytacyjne i odnoszące się do tej nieruchomości dokumenta (wyciąg tabularny, wyciąg katastralny, protokoły ocenienia i t. d.) może każdy, mający chęć kupienia, przejrzeć podczas godzin urzędowych w sądzie niżej wymienionym w biurze Nr. 4.

C. k. Sąd powiatowy oddz. IV.

Tarnobrzeg, dnia 3 stycznia 1902.

L. cz. E 2401/1 3

EDYKT LICYTACYJNY.

Na żądanie p. Dra Samuela Reicha odbędzie się dnia 17 lutego 1902 o godzinie 9 przedpołudniem w sądzie niżej wymienionym, w biurze Nr. 4 licytacya realności lwh. 330 i 801 gm. Sobow objętych, Agnieszki Liś własnych.

Nieruchomości te wystawione na licytacyę są ocenione a to: realność lwh. 330 na 174 kor. 62 h., zaś realność lwh. 801 na 30 kor. 42 hal.

Najniższa cena wynosi ad 1) 116 kor. 42 hal., ad 2) 20 kor. 28 hal., poniżej tej ceny sprzedaż nie przyjdzie do skutku.

Warunki licytacyjne, które się zatwierdza i odnoszące się do tych nieruchomości dokumenta (wyciąg tabularny, wyciąg katastralny, protokoły ocenienia itd.) może każdy, mający chęć kupienia, przejrzeć podczas godzin urzędowych w sądzie niżej wymienionym, w biurze Nr. 4.

C. k. Sąd powiatowy Oddz. IV.

Tarnobrzeg dnia 4 stycznia 1902.

L. cz. E 2368/1
7

EDYKT LICYTACYJNY.

Na żądanie Jakóba Lichtblaua odbędzie się dnia 12 lutego 1902 o godzinie 9 przed południem w sądzie niżej wymienionym w biurze Nr. 4, licytacya 1) $^{6}/_{50}$ części realności lwh. 110, 2) $^{6}/_{50}$ części realności lwh 111 i 3) $^{6}/_{25}$ części realności lwh. 120 gm. Tarnobrzeg objętych, Bruchy Sturm własnych.

Nieruchomości te, wystawione na licytacyę są ocenione ad 1) na 258 kor, 78 hal., ad 2) na 305 kor. 20 hal., ad 3) na 3072 kor.

Najniższa cena wynosi ad 1) 129 k. 39 h., ad 2) 152 k. 60 h., ad 3) 1536 kor., poniżej tej ceny sprzedaż nie przyjdzie do skutku.

Warunki licytacyjne, które się zatwierdza, i odnoszące się do tych nieruchomości dokumenta(wyciąg tabularny, wyciąg katastralny, protokoły ocenienia itd.), może każdy, mający chęć kupienia, przejrzeć podczas godzin urzędowych w sądzie niżej wymienionym w biurze Nr. 4.

C. k. Sąd powiatowy Oddz. IV.

Tarnobrzeg dnia 14 stycznia 1902.

Odpowiedzialny redaktor i wydawca Wojciech Wiącek w Tarnobrzegu. — Z Drukarni Narodowej w Krakowie (Wiślna 9.)